Zeszyt 27. Lwów dnia 30. Września 1879. **Rok I.**

STRZECHA OJCZYSTA

PISMO DLA RODZIN POLSKICH.

PRENUMERATA kwartalnie 1 złr. 50 ct. = 3 mark. | WYCHODZI dnia 10go, 20go i 30go każdego miesiąca. | W. MANIECKI Wydawca i odpowiedz. za Redakcją

Prenumeratę i inseraty przyjmuje księgarnia F. H. Richtera, plac Marjacki, hotel europejski.

Złamane Serca.

Powieść

przez autora „Chorób Galicji."

XXIII.

(C. d.) Dla ludzi zamożnych, nawet sądy austrjackie znane z powolności, są grzeczniejsze i pilniejsze. Odkąd dr. Czudek został bogatym, klienci jego byli bardzo zadowoleni; każda sprawa prowadzona przez jego kancelarję, miała w sądzie pierwszeństwo przed sprawami innych adwokatów. Gdy Czudek skrypt Rossowskiego zaskarżył i zażądał grabieży całego majątku dłużnika, do trzech dni było wszystko gotowe. Juljan, który chcąc nie chcąc musiał podczas tego aktu znajdować się najpierw w sklepie, potem w domu, tam bowiem spisywano prócz ruchomości, także jego suknie i bieliznę, doznał wstrząśnienia tak silnego, że usiadłszy na sofce długo nie mógł przyjść do siebie. Wojciech tymczasem płakał jak dziecko.

Stary sługa, wiedząc, w jakich zamiarach przyszła komisja sądowa, zbliżył się do Juljana i rzekł mu do ucha:

— Niech panicz na to nie pozwala. Ja mam 500 papierków, które mi niby to starszy pan zapisał, a które niedawno dał mi ten żyd przeklęty... niech je panicz weźmie i tym złodziejom gardło zatka, bo ja i bez tego nie miałbym pożytku z pieniędzy kradzionych.

— Dziękuję Wojciechu, serdecznie dziękuję, ale twoje dobre serce nie pomoże w tym wypadku. Mnie dziesięć razy tyle potrzeba, jak ty mi możesz ofiarować.

Stary Wojciech westchnął, a usiadłszy w rogu pokoju, gorzko się rozpłakał.

Stosownie do przyrzeczenia danego Ragnerowi, Juljan wyprowadził się do nowego mieszkania w mieście i zabrał z sobą Wojciecha. Przykro im było porzucać dom, w którym tyle lat spędzili, to też gdy ostatnie rzeczy wyniesiono, oglądnęli się poza siebie i długo przypatrywali się tym murom i oknom, z któremi tyle wspomnień się wiązało. Juljan westchnął, a wzruszenie pokonując wsiadł do dorożki i kazał się wieść co koń wyskoczy, Wojciech zaś niosąc pod pachą rzeczy w zawiniątku, których w kuferku nie mógł pomieścić, szedł z głową zwieszoną, smutny, osołowiały, jakby kogo odprowadzał na miejsce wiecznego spoczynku.

Człowiek ma naturę gibką, umiejącą zastosować się do każdej okoliczności, dzięki czemu to, czego wczoraj jak śmierci się obawiał, dziś wydaje mu się mniej strasznem i niebezpiecznem. Gdyby Bóg nie był człowieka taką naturą obdarzył, ileż to serc musiałoby pękać każdego dnia, każdej godziny!

Juljan widząc się wśród stosunków tak przykrych i będąc wystawionym na ciosy coraz gwałtowniejsze, był już bliskim zwątpienia, gdyż nie wiedział, ażali w tak trudnych warunkach, wolno mu myśleć dalej o małżeństwie; wprawdzie wszystko czynił, by ślub przyspieszyć, lecz z drugiej strony zapytywał ciągle swoje sumienie, czy marząc o szczęściu z Wandzią, postępuje według jego sercowych przepisów. Sumienie nie robiło mu z tego powodu żadnych wyrzutów, a co do Wandzi, która była jakby jego drugiem sumieniem, bo i przed nią nie miał żadnych tajemnic i codzień rady jej zasięgał, i ona zupełnie go rozgrzeszała.

— Ja się walki nie boję — nie raz doń mawiała — bo od dziecka nauczyłam się walczyć!

Pracując i wzajemnie się wspierając, będziemy odważnie szli przez ten świat i ani chwili nie wątpię, że zawiniemy do portu, w którym nam burza więcej grozić nie będzie. Ja się zatem nie boję, a pan nie powinieneś się także lękać, chyba że mnie nie kochasz...

Mimo, że z natury nie była zalotną, wypowiedziała ostatnie słowa z taką zalotnością prawdziwie kobiecą, że Juljan z uniesieniem pochwycił jej ręce i gorącemi okrył pocałunkami. Jakże by mógł tej nie poślubić, która jego kochała i którą on tak ukochał! Ostatnie wahania prysły więc jak bańka mydlana i za sześć tygodni panna Wanda Wybicka miała zostać panią Rossowską.

Po zaręczynach, które odbyły się cichutko, w przytomności jednego tylko ojca, który z błogosławieństwem włożył im na palce skromne pierścionki, do młodych naszych przyjaciół szczęście uśmiechać się poczęło. Pan Wybicki, który już sądził, że cały świat o nim zapomniał, w chwili, gdy się najmniej tego spodziewał, otrzymał wiadomość, że przy kolei Lwowsko-Czerniowieckiej, której budowa miała się wkrótce rozpocząć, z pewnością dostanie posadę odpowiednią, a Juljan znowu dowiedział się od Storcha, że dochody magazynu znacznie się powiększyły. Ostatniemi czasy, przychodzili do sklepu cudzoziemcy, między nimi szczególnie Anglicy, którzy mieli budować kolej wyżej wymienioną, i ci kupowali obrazy. Co jednak Storchowi najbardziej się podobało, to okoliczność, że Anglicy nie lubili się targować i za wszystko gotówką płacili. W czternastu dniach tyle się zebrało pieniędzy, że Julian mógł jakąś część wysłać do Wiednia na prowadzenie procesu, który jeszcze nie był skończony, i na zapłacenie odsetków od owych pieniędzy, które za pierwszą bytnością we Wiedniu był zmuszony pożyczyć od tamtejszych lichwiarzy.

Co do sprawy testamentu ś. p. Czarkowskiego, tę Storch sam prowadził, ale w takiej tajemnicy, że nawet sam Juljan nie wiele o niej wiedział. Poczciwy chłopiec chodził, szperał, badał, długie godziny trawił w biurze adwokata, który podjął się prowadzenia procesu, a ilekroć Juljan go zapytał, jak rzeczy stoją, zawsze odpowiadał:

— Powoli przyjdzie i na ciebie kolej. Zdaje mi się, że na dobrej jestem drodze, bo pana Villaniego znalazłem, a jak już trzeba będzie jawnie wystąpić, wtedy ty wystąpisz!

Juljan zakochany, rozmarzony, szczęśliwy, że wkrótce Wandzię poślubi, nie żądał więcej szczegółów, wiedział bowiem, że jeżeli kto, to Storch, poprowadzi wszystko dobrze i roztropnie.

Narzeczeni byli więc szczęśliwi, nie przeczuwając, że nad ich głowami wisiał piorun, który bardzo prędko miał w nich ugodzić.

Czudek zagrabiwszy całe mienie Juljana, pospieszył do Wiednia, gdzie jego weksle wykupił; po kilku dniach wrócił do Lwowa, i w największej tajemnicy kupił znowu te weksle, które Juljan wystawił ostatniemi czasy; mając je w ręku, podstawił jednego ze swoich znajomych jako ich właściciela, poczem rozkazał swojej kancelarji, by niezwłocznie wszystkie zaskarzyła. W owych czasach, sądownictwo w Galicji nie stało jeszcze na takich jak dziś podstawach, to też gdy Czudek w skardze oświadczył, że pan Juljan Rossowski, pozwoliwszy się przed kilku tygodniami zagrabić jednemu wierzycielowi, tem samem skrzywdził innych, sąd nie badał nawet czy termina wekslowe już upłynęły i niezwłocznie wezwał Juljana, aby do ośmiu dni wykazał się funduszami, z których wszystkie długi zaspokoi, gdyż w razie przeciwnym sąd ogłosi upadłość jego firmy. Wprawdzie na sklepie była firma Storcha, ale w księgach handlowych był Rossowski jako właściciel handlu zapisany.

Juljan, otrzymawszy to wezwanie, skamieniał. Dopiero teraz zrozumiał intrygę Czudka! Więc on chciał go niszczyć powoli, aby go tem pewniej zniszczyć. Całej atoli doniosłości faktu jeszcze nie pojmował; i nie tylko on, nawet Storch, jakkolwiek w sprawach handlowych nierównie bieglejszy, ani przypuszczał na co się zanosi. Pod tym względem miał ich dopiero objaśnić ten sam adwokat, który podjął się był prowadzić sprawę testamentu. Gdy do niego przyszli po radę i on spokojnie ich wysłuchał, smutno głową potrząsł i rzekł:

— Bardzo pana żałuję, żeś się dał uwikłać, bo prawie nie widzę ratunku. Według kodeksu handlowego, kupiec, niemogący zaspokoić swoich wierzycieli, powinien niezwłocznie ogłosić upadłość, aby oni między siebie rozdzielili jego majątek. Jeżeli tego nie uczyni, i jednemu z nich zagrabić się pozwoli, jak to właśnie pan uczyniłeś, w takim razie działa na szkodę drugich, *in fraudem creditorum,* za co sąd karny pociąga go do odpowiedzialności.

— Ależ panie mecenasie, ja nie wiedziałem, że są takie przepisy — jęknął Juljan.

— Tego tłumaczenia prawo nie uwzględnia... nieświadomość prawa nikogo nie usprawiedliwia. Jako kupiec, mający firmę protokołowaną, powinieneś pan to był wiedzieć.

Juljan kilkakrotnie przetarł oczy i czoło, aby myśli zebrać.

— Przecie uczyniłem to li dla tego, żeby mi nie zarzucano, iż nie chcę dać zabezpieczenia... prędzej przez zbytek uczciwości, niż w zamiarze szkodzenia komukolwiek.

— Rozumiem najzupełniej — rzekł adwokat — i tem bardziej pana żałuję. Pan uczyniłeś to w rzeczy samej przez zbytek uczciwości, ale sąd i tego nie uwzględnia. On nie wie co to serce, on nie pyta o uczciwość, on zna tylko paragraf,

na którym spoczywa jego sprawiedliwość. Dla tego, mimo, żeś pan postępował jak człowiek prawy, sąd może cię potępić i z pewnością potępi.

Juljan siedział z oczyma w jeden punkt utkwionemi. Na bladem jak marmur czole wystąpiły zimne krople potu, usta mu posiniały, w samym środku policzków widać było rumieńce gorączkowe, ręce konwulsyjnie trzymał na kolanach załamane. Adwokat patrzył nań z niekłamanem współczuciem. Storch siedział obok równie przykremi trapiony myślami. On sobie wyrzucał, że wszystkiego nie przewidział.

— Pozwól panie mecenasie — Storch przemówił, — że zrobię jedną uwagę. Tym, który pana Rossowskiego zagrabił, był dr. Czudek, a teraz wytoczył mu pozew także dr. Czudek. Wszak to jedno powinnoby wprowadzić sąd na dobrą drogę i przekonać go, że w grze jest intryga.

Adwokat gorzko się uśmiechnął.

— Niestety raz jeszcze muszę powtórzyć, że sądy pytają jedynie o paragraf, a tego, co się intrygą nazywa, wcale nie znają. Zresztą Czudek nie zapomniał o pozorach, bo właścicielem weksli zaskarzonych jest osoba zupełnie inna, chociaż dobrze wiemy, że on je wykupił. Tym sposobem jego pretensja, za którą pana Rossowskiego zagrabił, a teraźniejsze żądania, są dwiema osobnemi sprawami, których sąd nigdy nie złączy.

— Jak pan mecenas sądzi — odezwał się nareszcie Juljan po długiem milczeniu — co mi teraz uczynić wypada?

— Najlepiej byłoby zapłacić, ale skoro pan nie masz teraz pieniędzy, więc udaj się do Czudka, i staraj się go skłonić do wniesienia takiego podania, na podstawie którego, sąd mógłby potem odroczyć termin panu wyznaczony. Gdy to nastąpi, pan tymczasem znajdziesz może fundusze.

— I pan mecenas sądzi, że Czudek uczyni coś podobnego?

— Nie tylko sądzę, prawie jestem tego pewny. Ponieważ na takiej zwłoce nic nie straci, więc nie zechce uchodzić w opinji miasta i całego kraju za człowieka bez czci i wiary.

— Jeźli tak, zaraz idę do niego.

Storch chciał mu towarzyszyć

— Dziękuję ci — odparł Juljan — ja chcę się z nim sam na sam rozmówić.

Rzekłszy to, pożegnał adwokata i wyszedł. W przedpokoju spotkał jakiegoś jegomości bardzo słusznego i sztywnego, który mu się ciekawie przypatrywał. Gdyby Juljan miał był czas spojrzeć na nieznajomego i bodaj chwilę o czem innem myśleć jak o swoich zgryzotach, byłby sobie przypomniał, że tego samego jegomości widział na rogu Wałów, i że wtedy Wandzi zdawało się, iż w nim poznaje jednego ze swoich dawnych znajomych.

Juljan popędził do Czudka; Storch szedł krok w krok za nim, z oka go nie spuszczając.

XXIV.

Kamienica, w której mieszkał *Dr. Mathaeus Czudek, Landes- und Gerichtsadwokat*, miała front bardzo okazały i bramę wspaniałą, w której widać było prawie o każdej godzinie dwie, a czasem trzy postacie żydowskiego pochodzenia. Jedną z nich był faktor pana mecenasa, załatwiający wszystkie jego sprawy, dwaj drudzy byli to detaksatorowie, którzy biegali grabić i oceniać ruchomości. Każdy adwokat ma jakąś specjalność. Ten jest dobrym obrońcą w sprawach karnych, tamten lubi prowadzić procesa cywilne, inny znowu szuka powodzenia na polu spraw handlowych. Czudek lubił przedewszystkiem egzekwować weksle i bronić zaskarzonych. Wtajemniczywszy się w zagmatwane przepisy wekslowe, i poznawszy w tym jednym punkcie ducha praw austrjackich, był w stanie bronić jednego wekslu, dwa, trzy, nawet cztery lata; zato jeśli otrzymał jaki weksel do wyegzekwowania, wydobył pieniądze prędko, choćby z duszą wierzyciela. Biada, kto się raz w jego szpony dostał. Najbiedniejsi byli kupcy, ci go też najbardziej nienawidzili. Czudek, mieszkając dłuższy czas w Wiedniu, pozawiązywał stosunki z tamtejszym światem handlowym, a że kupcy lwowscy żywią się przeważnie towarami wiedeńskiemi, za które płacą wekslami, więc dr. Czudek skarżył prawie codzień jakiś weksel wiedeński. Jeżeli kupiec zaraz nie zapłacił, następował okres drugi, nazywający się grabieżą, w którym postacie w bramie widywane, główną rolę odgrywały. Wtedy to jeden z dependentów pana mecenasa, najczęściej pan Franciszek, brał detaksatorów, woźnego sądowego i szedł do domu swojej ofiary. Jak niegdyś panowie niemieccy, mieszkający na gór szczytach, przypatrywali się z okien zamku, jak ich dworzanie obdzierali podróżnych na drodze, tak dr. Czudek, stojąc w oknie drugiego piętra, widział z zadowoleniem, jak p. Franciszek na czele swego orszaku spieszył gdzie mu kazano. Panowie niemieccy żyli z tego, co im rabunek przyniósł; dr. Czudek od pierwszego dnia przyjazdu do Lwowa tuczył się łzami i krwią ludzi nieszczęśliwych.

Juljan, widząc w bramie te same figury, które oceniały jego obrazy i ruchomości, odwrócił się od nich ze wstrętem i czemprędzej wbiegł na wschody. Rozpaloną dłonią dotknął się zimnej klamki, pocisnął i wszedł do mieszkania adwokata. W kilka minut Storch się zjawił. Nie poszedł on jednak za przyjacielem, lecz jak pies

wierny, gdy swojemu panu nie chce zrobić przykrości, zatrzymał się w sieni i tam go oczekiwał.

Czudek, ujrzawszy wchodzącego Juljana, zbladł jak płótno i słowa nie przemówiwszy, rzucił się ku drzwiom do kancelarji prowadzącym, wołając:

— Panie Franciszku!

Powiernik i godny uczeń dr. Czudka zaraz się pojawił. Adwokat, mając kogoś przy sobie, postąpił naprzód, a zatrzymując się na środku pokoju, zapytał:

— Czem mogę służyć?

— Mój panie — zaczął Juljan usty drżącemi — przychodzę tu z prośbą niewielką... oto zechciej pan tak zarządzić, by sąd dał mi termin późniejszy. Do ośmiu dni pieniędzy nie znajdę.

— Nie mogę, jakem poczciw, nie mogę!

— Zechciej pan rozważyć, że w to krytyczne położenie sam mnie wtrąciłeś. Gdybym był nie usłuchał pańskiej rady i nie pozwolił się zagrabić, mógłbym dziś ogłosić upadłość i nie zostawałbym przynajmniej pod zarzutem...

— Oszustwa! — Czudek dokończył, widząc, że Rossowski waha się to słowo wypowiedzieć. — Tak jest, pod zarzutem oszustwa. Ale jam temu nie winien. Jakem poczciw, nie! Jam tylko radził, pańska zaś była dobra wola przyjąć lub odrzucić propozycję.

Zapanowała chwila milczenia. Juljan pierwszy ją przerwał.

— Cóżem ja panu uczynił — rzekł, — że mnie prześladujesz z taką zaciekłością? Czyż to wdzięczność za to, że kiedy marzłeś, jam cię okrywał, a kiedy z głodu umierałeś, ja ci oddawałem wszystko do grosza? Panie Mateuszu! więc tak umiesz się wywdzięczać?

Adwokat zatrząsł się jakby piorun w niego ugodził. Nie ma człowieka tak nikczemnego, który by złych swoich czynów nie chciał przed sobą usprawiedliwić. Okoliczność, że Juljan przypomniał mu jego nędzę, której się wstydził, a swoje dobrodziejstwa, za które nienawidził go od ław szkolnych, i że o tem mówił w obecności osoby trzeciej, były dlań dostatecznym motywem do zrzucenia maski, w jaką się jeszcze stroił i do wystąpienia we właściwym swoim charakterze.

— Mój panie! — rzekł głowę hardo podnosząc — zapewne musiało się panu w głowie pomieszać, kiedy mówisz o rzeczach, które nigdy nie istniały. Zresztą choćby nawet były prawdziwemi, nie o nich mamy teraz mówić... Tu idzie o pieniądze, nie o wspomnienia. Terminu przez sąd oznaczonego nie odroczę, i jeżeli do ośmiu dni nie zapłacisz pan wszystkich należytości, wraz z odsetkami i kosztami procesu, ogłoszę pana upadłość. I nie na tem koniec! Ponieważ niewątpliwy cięży na panu zarzut, żeś działał *in fraudem creditorum,* więc gdy sprawa pójdzie do sądu karnego, nie wątpię, że się kochany pan dostaniesz do kryminaliku. Czas skończyć z takimi jak pan ludźmi!

Juljan, który słuchał blednąc co raz bardziej, poczerwieniał teraz nagle i krzyknął:

— Prawdę powiedziałeś łotrze, czas skończyć z takimi!

(C. d. n.)

DRUHY.

NAPISAŁ BOHDAN.

I.

Szlakiem od Humania, ku południowi, szedł człowiek — na nim szynel szary, moskiewski, przy boku szabla moskiewska i takaż czapka, na ogolonej „po ukazu“ głowie, tylko postać i twarz nie moskiewska, i dusza z oczu patrzy wolna, jak na przekór szynelowi...

Średni wzrostem, cienki i gibki jak wijun... twarz u niego śniada, nos orli, oczy siwe, żywe, ocienione ciemną brwią, takież włosy nad szerokiem czołem, nad ustami wąs światły, a na całem licu szczerota i tęskność kozacza. Szedł, a raczej biegł szybko, rozglądając się po owianej półmrokiem świtu rannego okolicy.

Z prawej szlaku strony rysowały się zdala skaliste brzegi Bohu, kilka rozrzuconych bajraków, jar ciemny, nad którym dwa czy trzy osiadły chutory... z lewej płaszczyzny ubarwione ostrowami i wyspami oczeretu... kilka krzaków dereniu i kurhan, znać czumacki, bo nad nim krzyż i kalina.

Była to ta uroczysta chwila przedświtu, kiedy wszystko się budzi i wita blizki wschód słońca, tysiące ptactwa napełnia to powietrze wrzaskiem, spiewem, świstem — słowik skryty na kalinie kończył nocne pienia, czajki jęczały jak w płaczu, stada kaczek co moment przeciągały nad szlakiem, zapadając z krzykiem w kamysze. Nic nie przerywało tej wrzawy, żaden odgłos ludzki, wiatr nawet poranny drzemał jeszcze w burzanach. W całej naturze czuć już było bliskość stepu, już coś wiało od niego... w powietrzu przeciągał ten oddech, pod którego wpływem najspokojniejszy koń nabiera ducha, a rodzinny stepowy rumak dziczeje, robi się zocznym jak sokół, wyciąga szyję, z rozwartą chrapą wietrzy... A człowiekowi serce bije rzeźwiej, silniej, pierś oddycha lekko i szeroko, duszę osiada luba tęsknota, a w głowie snuje się mimowoli dumka o starem, dawnem Zaporożu.

Idący szlakiem kozak snać czuł ten czar, bo mimo widocznego pospiechu, od czasu do czasu stawał i wciągał powietrze całą piersią, jakby upić się niem chciał, czy nacieszyć.

Światło dzienne zwiększało się coraz, niebo sine stroiło się coraz bogaciej złotem i purpurą. Na szlaku zjawiać się poczęły gromadki ludzi, idących do Humania. Sołdat przed każdą uchylał czapki i pozdrawiał:

— Sława Bohu!

— Na wiki sława! — odpowiadano.

Pozdrowienie i odpowiedź następowały bardzo naturalnie po sobie, w tonie jednakże, w jakim były dawane i oddawane, zachodziła różnica.

„Sława Bohu!“ wymawiane było serdecznie, z duszy, która się rwała do tego kozaczego ludu.

„Na wiki sława!“ odpowiadano tylko dla zwyczaju, głosem suchym, niechętnym, któremu towarzyszyły posępne spojrzenia i nierzadko półgłosem rzucony dodatek:

— Moskal!

Nie jedna hoża mołodyca odwróciła głowę, nie jeden stary batko gniewnie szarpnął wąsa, a parobek na widok szarego szynela zmarszczył brwi, napanoszył się postawą i rzucił drugiemu:

— Czegoż ten woron kręci się tutaj pomiędzy nami... czy czuje krew, czy padło!

Słowa takie wymówione niby cicho, dość jednak głośno, by trafiły do wymierzonego celu, snać dochodziły do uszu sołdata, bo za każdym razem widoczna w nim zachodziła zmiana: twarz mu jaśniała, serdeczny uśmiech ukazywał się na ustach, siwe oko błyszczało radością i dumą! Stawał i z lubością przyglądał się hardemu mołodcowi, póki nie zginął mu z oczu, zmięszawszy się z jaką gromadką.

Na dwunastej może werście od miasta, szlak podnosi się lekko w górę, za którą, jak zwykle w płaszczystych okolicach, nie widać nic, tylko niebo spuszczające się ku dołowi.

Sołdat szybko, z widocznem upragnieniem, biegł pod tę górę, aż stanął na jej szczycie.

Przed nim, jak oko mogło zasięgnąć, na wschód, zachód i południe, rozrzucił się step.

Step!....

Sołdat stanął i otworzył ramiona jak do uścisku...

W tej chwili sine niebo zabarwiło się całem bogactwem złota i purpury, miliony tęczowych promieni wytrysło. Z srebrnosinego stepu wstało słońce i pierwszy podmuch stepowego wiatru dmuchnął mu w twarz.

Sołdat zdjął czapkę, gwałtownie zerwał z siebie pendent z szablą, rzucił precz, ukląkł i trzy razy pocałował ziemię. Wstał, trzy razy przeżegnał się krzyżem świętym, wyprostował się, otrzepnął i okiem powiódł po stepie...

Tak szeroko widno wskróś od kraju do kraju, tak pohulać można okiem i dumką, że aż duszy lubo... wiatr tak dmucha, oczeretem trzeszczy, szumi, huczy, że aż dziko, mogił tyle, że aż tęskno.

Twarz sołdata jak ten step i tęskna i dzika! Długo wodził okiem po tych mogiłach... zadumał się... pierś nabrzmiała mu westchnieniem, które przeszło w dumkę. Zawiódł tęsknie:

„Skriź mohyły w Ukraini
I horkaja dola...
A w mohyłach ii syny
I świataja wola.
Po mohyłach witer hude,
Hulaje po poli...
Po mohyłach teper lude
Wyhladajut doli.
Po mohyłach Moskal kliatyj
W sołdaty zajmaje
Naszych chłopciw... Po mohyłach
Wrażyj Lach hulaje!...

urwał, oko mu zabłysło — i po chwili dokończył:

„Daśt Boh kołyś prokinut'sia
W mohyłach Hetmany!...
Wstanut'... Z nymy mow to sonce
Świata wola wstane!...“

Zadumał się, obejrzał po stepie, spojrzał ku Humaniowi, potem na swój szynel sołdacki i machnął ręką z kozaczym akcentem:

— Oj Bohdane! — rzekł z żalem, przeciągnął dłonią po czole i poszedł w drogę.

Nad szlakiem krzyż, dalej bilina i mogiłka, od niej sołdat rzucił szlak i puścił się stepem na wschód.

Snać to syn tego stepu, wyrósł na nim, z taką lubością kąpie się w jego sinej zieleni... Snać dusza jego wykołysana z młodu tym wiatrem, z taką rozkoszą w pół dziką stawia czoło jego podmuchom.

Te mogiły to stare drużki jego, zna je, wie co która kryje; jedne mija, to tatarskie — przy drugich zdejmuje czapkę i żegna się trzy razy: to lasza albo moskiewska — przy innych stanie, zaduma, po szerokiem czole przewinie się tuman smutku, albo podniesie je dumnie, bo to kozacza, a on hardy wnuk hetmański, duma o sławie ich i śmierci.

Wybiło się słońce wysoko na niebo i pali. Ptactwo zamilkło i pochowało się w kamysze stepowe, tylko hajwornony pławią skrzydła w promieniach słonecznych i krzyczą.

Wśród stepu kilka bajraków szumi, a za niemi długiem pasmem szarzeje chatami i bieleje kwitnącemi sadami sioło.

Sołdat, którego krok pod promieniami słońca ociężał, zdawał się nowych sił nabierać. Już nie szedł, ale leciał, upragnienie, radość skrzydeł mu dodały.

Już blisko!...

Nieskończoną linją wśród zielonego kraju rozsiadło się sioło. Chaty ukryte w sadach wiśniowych tulą się jedna do drugiej, kilka chutorów wybiegło naprzód ku stepom. Cerkiew trzema kopułami wystrzeliła w niebo, a słońce jasnemi promieniami złoci jej trzy krzyże. Z prawej strony sioła kładowiszcze, z lewej wśród drzew wyniosłych wspaniały panuje pałac, dalej szerokie uprawne pola.

Od sioła gwar już dolatał — szczekanie psów, ryk bydła na paszy, kurów pianie; kilku koniuchów boso, w koszulach wyrzuconych na płócienne szarawary, na lotnych koniach z krzykiem przebiegło mimo, do stada...

Sołdat patrzył, słuchał, śmiał się i łzy kręciły mu się w oczach.

Wszedł na wąską ścieżkę i nią już dobiegał do sioła.

Pod samem siołem para siwych wołów leniwie kroczy, za wołami socha trzęsie się, skrzypi, stepu kawał drze! a za sochą idzie człowiek i tęsknie spiewa:

„Hej woły, woły połowyi!“

Sołdat ręką pod słońce osłonił oczy i przyglądał mu się chwilę, i uśmiech radośnego rozrzewnienia osiadł mu na ustach.

Stanął i czekał na oracza, który doorywał do drogi.

Był to człowiek wysoki, cienki, pochylony lat kilkudziesięciu brzemieniem, o twarzy typowo kozaczej, oku bystrem, przenikliwem, błyszczącem z pod krzaczastej brwi siwej, długie wąsy i biała jak śnieg broda opadały na piersi; na nim szarawary płócienne, sine i świtka szara

narzucona na soroczkę białą, na przodzie rozkrytą, z pod której widna pierś stara, pożółkła.

Doszedł do drogi, zatrzymał woły, wyprostował się i starem okiem spojrzał w step. Sołdat zbliżył się, stanął mu prosto w twarz.

— Pomahaj Bih!

Stary spojrzał na sołdata bystro, zmarszczył brwi, w oku mu zatliła iskra...

Skinął głową:

— Daj Boże zdorowla!

Naraz lica mu złagodniały — chwilę patrzali na siebie, stary niby poznając, sołdat z duszą w oczach.

— Didu! — zawołał głosem stłumionym od wzruszenia. Stary roztworzył ramiona.

— Synu...

Chłop ukraiński i moskiewski sołdat rzucili się sobie w ramiona, w długim uścisku.

Kiedy się puścili, twarze obydwóch głęboko były wzruszone — tylko gdy oczy sołdata błyszczały szczęściem, czoło starego głębokiego smutku kryła chmura. Odsunął z lekka sołdata od siebie i z miłością wpatrywał się w jego lica.

— Jeszczeż ja ciebie zobaczył! — mówił kładąc mu rękę na głowie — jeszczeż ty mnie wrócił się taki jak poszedł... taki ciałem i duszą!

Podniósł oczy w niebo.

— Sława tobi Boże!

— Didu, didu mój! — powtarzał sołdat, nie mogąc znaleźć słów do oddania uczucia. Stary lubował się nim i szeptał pół do siebie:

— Myślałem już, że umrę, a ciebie nie zobaczę więcej...

Jeszcze się ściskali. Sołdat przeciągnął ręką po czole, jakby odpędzić chciał rozrzewnienie.

— Karpe! co tam w domu? Matka, Makryna?

Na to pytanie twarz starego sposępniała, czoło ciężka pokryła chmura.

— Tymku, ty neznajesz...

Tymon zbladł, niespokojnie chwycił za rękę starego.

— Matka moja! Makryna?!

— Matkę twoją pozatorik wywieźli na mogiłki...

Sołdat stanął jak rażony piorunem — potem ukrył twarz w dłonie.

— Maty! moja maty! — zająknął i zapłakał jak małe dziecko.

Stary nie koił go, nie cieszył; patrzał na niego posępnie, jak gdyby jeszcze nie powiedział wszystkiego... Czekał, a gdy gwałtowny ból sołdata wylał się serdecznemi łzami, położył mu dłoń na ramieniu.

— Synu, czy ja ciebie źle uczył, czy na darmo tobie opowiadał dzieje nasze kozacze? Na darmo tobie wywodził z pod mogił tych wszystkich atamanów, watażków, tych chyżych ptaków stepowych, kozaków orłów, i małemu stawiał przed oczy ich sławne dzieła, życie, sławną śmierć?! Małoż ja tobie naśpiewał stepowych naszych smutnych pieśni, małoż ja tobie naopowiadał pro sij szerokii jak toj step woli... jak to ją zabierali, jak Sicz rujnowali, a nas pryborkali worohy proklati!... Małoż ty jeszcze napatrzył się z młodu własnemi oczami na ciężką, krwawą, dwa razy krwawą dolę narodu, że ci jeszcze serce nie stwardło?

Popatrzał na niego i dodał łagodnie:

— Oj! ty nie wyrósł mi taki, jakim ja chodował ciebie, mołodca z hardą, kozaczą duszą? Nie płacz, to nie kozacza robota! Maty u Boha! a ja jeszcze nie powiedział wszystkiego...

Tymon podchwycił się.

— Każy! — zawołał gwałtownie — Makryna! Czy i ta umarła?!

Stary smutnie potrząsł głową.

— Nie umarła... — Skinął głową w stronę bielejącego zdala pałacu:

— Tam!

Całe piekło wściekłości i rozpaczy zerwało się w piersi sołdata! Zrozumiał wszystko od razu.

— Ha, przeklęta! — krzyknął głosem ochrypłym.

— Nie przeklinaj jej Tymonie.

— Ona, on, świat cały, Lachy przeklęci!

Głos mu się zaparł w piersi, twarz wykrzywiła się śmiertelną nienawiścią. Karpa oko pod siwemi brwiami zatliło się ogniem.

— Przeklęci! — wyrzekł z wolna. — Co? ty ją przeklinasz? Ona niewinna.

Tymon dziko się uśmiechnął:

— Niewinna?

— Niewinna! — z mocą odparł stary. — Ja na to patrzał własnemi oczami... Niewinna!

Popatrzał na Tymona i dodał łagodniej:

— Czy ty już zapomniałeś jak to tu u nas? Tak niedługo bywał w świecie, trocheś lat pożył na czużyni, na mnoho podywyłsia, jak to tam ludzie żyją spokojnie, może i szczęśliwie — i już zapomniał.

U nas inaczej na Ukrainie, u nas inaczej!...

Cały świat choćby kochał, drużyłsia! tu człowiek nie człowiekiem!... Lach panem, Rusin pies, kozak cham, rab pański ta moskiewski! U nas chata, matka, brat, dziewczyna, żinka nasza, nie nasza! Kozak w sołdaty, newistka do pana. Tak i z tobą!

Ty u Moskali, a czorni browy mołodycy weszły w oczy wielmożnoho! Chodził ta chodził, gościńce słał jej i matce twojej — one nie przyjmowały, nie wychodziły wcale. Pan groził, że chatę rozwali, braci zagoni w sołdaty, a one płakały...

Potem ucichło, lato całe przeszło spokojnie, myśleli my: minęło licho...

W jesieni znudziło się czekać grafowi, nocą zabrał!... Płakała mołodyca, oczy chciała wypłakać w pałacu, graf pilnował, ani jej zobaczyć nie było sposobu. Matka stara prosiła, od progu nie odchodziła, potem skarzyła ona... chodził ja do guberni, po czynownikach, ta darmo; rublami wszystko zrobisz!

Zwąchał się graf sobaka z psami Moskalami. Makryna we dworze krasę wypłakała, pryłuczyłaś choroba... teraz każut' tylko dożywaje. Matka dawno na mogiłkach... Chata pustką stoi.

Stary zadumał się, ręką machnął:

— Synu! twoja dola, to dola całego narodu. Lach, ta Moskal, ten zabiera ci całą dolę, całe szczęście twoje.

Chciałbyś bronić — to darmo! drugiego pęta na rękach.

Spojrzał tęsknie ku stepom rozległym.

— Oj! czasy, czasy, czasy złotyje deż wy podiłysia?!...

Na drodze zatętniały końskie podkowy, z tumanu kurzawy wyskoczyło dwóch jeźdźców.

Na czerkieskim koniu, z myśliwska ubrany, człowiek młody, o twarzy miękko pięknej i czarnem przygasłem oku. Za nim kozak w dworskiej barwie.

Tymon zbladł śmiertelnie i porwał się:

— Ha! psie!

Stary schwycił go za rękę.

Grafa oczy spotkały się z dzikim wzrokiem sołdata. Na twarzy jego zamigotała niepewność, gniew, obawa i wstydu trochę. Pocisnął koniem i minął ich w skokach. Sołdatowi nie dobra dumka patrzała z oczu. Karp bystro w niego się wpatrzył.

— Szczo z toho — rzekł spokojnie — szczo z toho?! Zabijesz, a potem Sybir i śmierć w śniegu...

— A na cóż mnie życie?! Zginę ja... Niechaj on pierwej. Mnie katorga, jemu śmierć!

Stary potrząsnął głową.

— A gromadzie wieczna pohybel i taki sam graf drugi. Tegoż im i trzeba... a toż to bunt w naszem siole! Przyszlą wojsko, kwaterami postawią, kilku młodych pójdzie w rekruty, kilku starych do turmy...

Sołdat drgnął, a Karp mówił dalej:

— Słuchaj mene Tymone! Zginie on, zginiesz ty... Takich grafów nie braknie, a takich jak ty nie wielu na Ukrainie! Naszych już ginie czy mało? Jeszcześ nam się własnemi mordować rękami? Hlady do koła, podywyś na ten kraj nasz szeroki! Póki żyjemy my, żyją pieśni nasze, żyje Ukraina! Sława nasza zasnęła na mogiłach... pieśni nasze budzą ją jeszcze. Zabraknie nas, zmilknie pieśń... tody szczo? tody szczo Tymone?

Stare oko dziada jaśniało, siwa brew skupiła się na czole, wyprostował się i patrzał gdzieś daleko. Może tam widział jeszcze duchem przeciągające kurenie, może w uszach brzmiało mu jeszcze kozacze:

„Hej ha! hura ha!...
Koli, siczy, riż wraha!...“

bo zamilkł, zapatrzył się, zasłuchał; potem drgnął i rzekł sam do siebie:

— A hdeż sława kozackaja?!

I Tymon patrzał w step, ale kiedy stary płomienił się wspomnieniami, lice młodego łagodniało, w miejsce rozpaczy, głęboki smutek osiadł mu na czole.

Siadł nad drogą, popatrzał na pałac, powiódł okiem po siole, zatrzymał je na krzyżu cmentarnym i ukrył twarz w dłoniach.

— Sierota!

Karp z niewymownym spojrzał na niego żalem.

— Synku! — rzekł z czułością.

Sołdat się zerwał.

— Didu! ty jeden mi jeszcze został, ostatni!

Stary przyciągnął go do piersi.

— Tymku, nie mów ty tak głośno „sierota“, to starego boli. Synku, ty ne znajesz, każdy człowiek coś kochać musi na świecie. Ktoś ojca, ktoś matkę, taj żinkę, rodzinę. Ja z młodu rósł sam jak ten jawor w polu; całą młodość przehulał po stepach, po morzu, a nie kochał nic, chyba szczo konia czarnomorca i szablę ostrą przy boku! Minęły moje młode lata, burłaka, wołokita, obidranyj przemandrował ja, z bujnym puścił po polu — przyszły stare lata. Zatęskniłoś serce, kohoś to szob' i polubyt'. Wrócił ja w swoje sioło, chutor wystawił, żył, ta tęsknił, samemu czudno na świecie! Bóg miłosierny dał mi ciebie. Ty ne zapomniał? Ja siedział z teorbanem, grał przed chatą, pieśni śpiewał — ty maleńki przyszedł, stanął, słuchał... ja przestał, ty poszedł precz, a ja nie zważał na to. Na drugi wieczór ty przyszedł i stanął u proga: Czoho ty kozaczek? ja pytam. — Ta za pieśnią didu! — ty śmiało. Wziął ja teorban, grał pieśni, śpiewał. I tak co dnia, a potem ty ciągle przesiedział u mnie na chutorze i lubo było staremu, że jest komu śpiewać, jest uczyć kogo. — Dumam ja sobie: umrzesz ty stary, pieśni twoje nie zginą! Bywało wracały się lata moje młode, kiedy patrzałem na młodość twoją Tymone, ja na świecie kochał tylko ciebie, doglądał, chodował razem z matką twoją. A potem ty wyrósł mi taki kozak choroszy, taki dzielny i rozumny... i ja lubował się, pysznił wdowinym synem, neinacze ridną detyną.

Stary zatrzymał się nieco i westchnął.

— Nastała tiażkaja hodyna! Ciebie, mojego orła, mojego sokoła, w którego duszę wlał ja całe dzieje minionej sławy naszej, historją, na którego ja patrząc, Bih znaje! jaką dumkę niańczył w głowie... zobaczył z ogoloną głową, w szynelu sołdackim Moskala! Ty poszedł, a ja stałem się ojcem twojej rodzinie, po ojcowsku przywiązał się do niej, aż tutaj!... Synu, ja już teraz tobie nie powiem, chyba sam zrozumiesz, co mnie działo się w duszy, kiedy musiałem patrzeć na szczęście twoje, jak je powoli rozbierali wrogi. Patrzeć, a nie módz nic! Już mi życie ciężyło. Bywało chciałem Boga prosić o śmierć i dumam chyba w ziemi odpocznę! Wspomnę na ciebie i żal mnie zostawić ciebie samego, to perechreszczuś i modlę się Bogu nie o swoje szczęście, ale o twoje. Ty jeden zatrzymał mnie na ziemi, a teraz każesz „sierota!“

Tymon rzucił mu się na szyję.

— Prosti!

Karp wziął go za rękę.

— Chodź synu w sioło, chodź w moją chatę.

Sołdat westchnął:

— Chodźmy.

II.

Zwolna wlokło się przez sioło sześć siwych wołów, za niemi długi tuman kurzu, a dwóch smutnych ludzi za tumanem.

Z tej i tamtej strony drogi chaty szare, jedna podobna drugiej, druga trzeciej, wszystkie siostry rodzone. Za każdą sad wiśniowy bieleje kwieciem, przed każdą obejście; z obejścia pies wyskoczy, szczeknie i legnie w piasku u proga. Gdzieniegdzie w ulicy studnie z żórawiem i między topolami chrest pozłocisty.

Z chat wybiegały dzieci.

— Dziadku Karpe! — wołały za starym, ale ujrzawszy z boku szynel sołdacki, stawały w pół drogi.

— Co to? — pytało jedno drugie.

— Moskal.

— Ten, co straszyła maty?

— Ten... przyszedł po ciebie!

Rozpierzchła się gromadka za opłotki, wystawiając tylko ztamtąd złotowłose główki. Jedno maleńkie zostawione w piasku zaczęło płakać. Tymon stanął, na twarz przybłąkał mu się uśmiech smutny. Wziął dziecko za ręce i podniósł w górę.

— Daj pokój — rzekł stary. — Niechaj nie przywyka do Moskala.

Tymonowi żal było puszczać je od siebie, chwilę patrzał w jego oczy, potem delikatnie spuścił dziecko na ziemię.

— Twoja prawda — odparł.

Karp spojrzał na niego.

— Tobie synu żal, ale to niedługo. Zrzucisz cudzą skórę, a wszystkie przyjdą do ciebie.

Na końcu, za siołem, wysunięty ku stepom leżał chutor Karpa Maniuchy. Bielał sadami kwitnącemi za siołem, szarzał dachem schowanym wśród kwiecia. Do niego zmierzali stary z Tymonem. Stary szedł przodem, odczynił wrota i wpuścił woły z sochą w obejście, sam zatrzymał się i obrócił do Tymona.

— Perechrestiś synu!

Tymon przeżegnał się trzy razy: „Boże Ojcze, żeś nas stworzył sława Tobie. Sława Tobie Synu Boży, żeś nas odkupił — sława Tobie Duchu święty, żeś nas oświecił.“

— Tak synku, tak trzeba, jak jest, tak jest, dziękujmy Bogu, że dał tobie wrócić w te progi i niech Przeczysta zachowa cię, żebyś je kiedy rzucił nie po swojej woli.

Cóż powiedzieć o chacie Karpowej? Była to zwykła, znana wszystkim ukraińska „sereden“ prosta, choć zamożna, cicha, czysta, ze stołem zasłanym białym obrusem, z chlebem i solą dla gościa, z świętemi ikonami i wiecznie płonącą lampką w kącie chaty.

Tymon wszedł do chaty i obejrzał się dokoła. Tu kąt każdy przypominał mu szczęśliwą przeszłość, dawno minione wspomnienia jawiły się żywemi obrazami przed jego oczyma. Różne uczucia malowały się na wyrazistej jego twarzy; widać było jak ból, żal, wściekłość i blady odblask dawnego szczęścia nim miotały. Usta mu drżały, jakby miał zapłakać, lub oko ponuro błyskało, aż załamane dłonie zarzucił na głowę z taką dziką rozpaczą, jaką pojmie tylko syn stepu, zraniony w samo serce.

Tymon obrócił się szybko.

— Karpe! — zawołał — Karpe! ja ją muszę zobaczyć, muszę! A potem co Bóg da.

— A jakże ty ją zobaczysz? Czy to tak łatwo? Pałacu strzegą psy i gorzej psów pańscy słudzy.

— Niechaj!... jak bądź, pójdę!...

Stary pomyślał.

— Czekaj, trzeba rozważyć, tak nie można. Pójdziemy do ludzi... gromada to wełykij czołowik, poradzi lepiej. Siedź tu, ja pójdę, pogadam, popytam...

Wziął czapkę, poszedł — od drzwi się wrócił.

— Słuchaj, może ja tu przyprowadzę kogo. Zrzuć szynel, niech cię takim nie widzą; myśleliby żeś Moskal, a oni tego nie lubią, będą patrzeć jak na wilka. Ostajś z Bohom!

Zostawszy sam, Tymon jak dziecko posłuszny wyszedł do drugiej świetlicy, a po chwili wrócił z niej już w sinych szarawarach i czarnej świtce, podpasanej pasem krasnym. Cała postać jego zmieniła się, poruszał się swobodniej i czoło podnosił wyżej; znać było, że ten strój stworzony był dla niego i on urodził się do tego stroju.

Siadł na ławce i oparł dłonie na stole, a głowę na dłoniach.

Dawno już słońce chyliło się ku zachodowi, ukośnemi promieniami zaglądało w okna, złociło pochyloną głowę Tymona jakby obudzić go chciało, a on siedział jeszcze bez ruchu. Gwałtowne wstrząśnienia, jakie przebył dnia tego, zmogły go. Cały organizm odrętwiał, nie czuł nic, nie myślał nic, stracił świadomość własnej egzystencji, ból nawet go odbiegł.

Przed chatą dały się słyszeć tłumne kroki i zmięszane głosy — pies szczeknął. Tymon drgnął i jak ze snu się zerwał. Otworzyły się drzwi chaty.

Przodem wszedł Karp, a za nim kilkunastu starszych i młodszych gospodarzy, dalej gromada parobków i wyrostków, a dalej jeszcze przez drzwi otwarte widać było kobiety i dzieci.

— Sława Bohu!

— Sława na wiki!

Tymon stanął naprzeciw gromady, nie mówił nic, tylko objął ją jednem spojrzeniem.

Miał przed sobą tych, wśród których wyrósł, ujrzał twarze, które widywał jeszcze pochylone nad swoją kolebką, te same serdecznym wyrazem, te same szczerotą spojrzenia, choć zmienione głębokiemi bruzdami lat ubiegłych czoła. Dalej widział młode, jasne lica... nie znał ich a poznawał, jawiły się jak we śnie jego pamięci — zostawił je dziecięce, a witał bogate krasą dziewiczą, albo harde dumą kozaczą!

Wszystkie one teraz, stare i młode były nie wesołe, wszystkie spojrzenia zwrócone na Tymona posępne były, a serdeczne, lube i łzawe.

Wszystkie serca w tej chwili biły dla niego. On stał przed gromadą i milczał, w piersi wzbierało mu uczucie, zapomniał, że cierpi, czuł tylko, że kocha...

W tej gromadzie widział cały swój naród wychodzący na jego spotkanie i cierpiący bolem jego. Po raz drugi dzisiaj dusza zbiegła mu do oczu, po raz drugi dzisiaj otworzył ramiona.

Najstarszy z gromady zbliżył się do niego.

— Bih z toboju! — rzekł poważnie, potem wziął go za rękę. — Tymone, my gromada, tak jak nas tu widzisz wszystkich razem, przyszli witać ciebie w twoim progu, witać z dalekiej drogi, gorzej jak z grobu, bo z moskiewskiej pohybeli... Może ty dumał, my ciebie nechali, zabuły? to — obrócił się do gromady i wskazał ręką — hlań na nich, a potem każy, szczo zabuły?

Gromadę przebiegł szmer głuchy, poruszyła się, skłębiła. Ludzie otoczyli ich w około. Wszystkich twarze

były wzruszone, w kobiecych łzy błyszczały. Mówiący spojrzał po nich z rozrzewnieniem.

— Zapomnieli oni ciebie tak, jak matka zapomina dziecko swoje! Poszedł ty od nas szczęśliwy, ta bogaty, mąż najcudniejszej krasawicy w Ukrainie, jedyny syn swojej matki. Wrócił i nie znalazł nic z tego szczęścia, co zostawił! Teraz ty został się sam na świecie, sierota! Ta ne żurysia; nad syrotoju Boh z kałytoju!... A ty teraz nasz, ludzki syn, gromadzki! My tobie ojcem i matką, my za tobą groszem, czy chlebem, radą, czy ręką, w każdej potrzebie staniem! Przywitajże nas, jakbyś ridnoho bat'ka przywitał!

Objął go uściskiem.

Gromada cała witała go, kto nie mógł ręką, to słowem i łzami.

Stary Karp stał z boku, sięgając głową stropu chaty; łez nie puścił, ale usta mu drżały.

— Hodi bo bat'ki z płakaniem! — ozwał się z boku młody parobczak. Karp się obrócił.

— A bo co?

— Przyśliśmo radzić, to radźmo!

— A co ty Iwanku poradzisz? Jak wola Boża! — rzekł ktoś ze starszych.

Iwanko się zerwał.

— Co? wola Boża? Jak wola Boża! złość że to ludzka, nie wola Boża!

Iwankowi drugi parobczak przyszedł w pomoc.

— Bóg miłościwy dał chatę, dał dolę, Lach zabrał pohaniec!

Za drugim poszedł trzeci:

— Przyjdzie tobie złodziej i weźmie co bądź z chaty, to ty dziadku powiesz Boża wola?

— Wrażasz to robota! — rzucił Iwanko.

— Oddać by jemu po wrażemu!

— Oddać!

Iwankowi oko zabłysło.

— A to oddajmo!

— Po mału, po mału, panowie mołodcy — chłodzili starzy. — Tak nie można, trzeba rozważyć.

— Co to? Co tu rozważać?! — wołali parobcy.

— Jak zaczniemy radzić, to nam z przed nosa wszystkie żinki wróg zabierze! — ozwał się Iwanko.

— A tobie tę, co jej nie masz! — uśmiechnął się Karp.

— Ta ja nie za siebie, ta ja za wsich! — odparł mołojec. — Co tu radzić? Mocą wziął, mocą mu ją odebrać. A jego psiawiarę na wrotach, ot tak! — wskazał na szyję.

— Dobrze mówi! — huknęło kilkunastu naraz mołodców.

— Chodźmy!

— Gdzie? gdzie?! — wołali starzy. Darmo, w głowach się paliło. Młodzi wzięli na kieł... ponosili! Powstał chaos, gwałt; młodzi się rwali, starzy wstrzymywali. Dwóch stało na boku — Tymon i Karp. Stare lice Karpa rozjaśnił uśmiech zadowolenia.

— Hej, hej! — mówił półgłosem — a to bunt. Tymon stał, patrzał, twarz mu płonęła, siwe oko pociemniało. Mołodce cisnęli się ku drzwiom tłumnie.

— Iwanko! Maksym! Trochyme! szczo wy? Iwanko skażenyj! — krzyczeli starzy. — A to Moskali najdut' i co wy?

Nie zważano...

„Tudy woda, tudy staw,
Biż kozacze kudy chocz!...
Czerez wodu można wpław,
Czerez horu pereskocz!...“

zaśpiewał ktoś wśród wrzawy.

Tymon się porwał, nozdrza mu się roztwarły, usta drgnęły namiętnie, dzika błyskawica błysnęła w oku; jakby go co popchnęło, posunął się krokiem naprzód. Naraz wstrzymał się, spojrzał na kobiety, na dzieci, położył rękę na piersi jakby stłumić tam coś chciał, potem wyprostował się i zawołał:

— Stój!

Głos jego silny i dźwięczny, dziwnie zabrzmiał wśród wrzawy, roznamiętnieni mołodce stanęli jak wryci. Po szalonym hałasie uciszyło się nagle. Wszystkie oczy zwróciły się na Tymona. On teraz stał spokojny, tylko oko jaśniało mu.

— Tu do mnie chłopci! — zawołał.

Parobcy wszyscy jak byli zbliżyli się i stanęli przed nim. On chwilę z lubością patrzał w te lica młode, jasne, w tej chwili harde, aż dzikie...

— Spasy Bih wam bratci! — rzekł z wolna. — Spasy Bih wam za to, co wy dla mnie i za mnie chcieli pójść ponieść życie, krew swoją! Spasy Bih wam! Gdyby to szło tylko o was, przyjął by ja to, co mi dajecie, poszedłbym z wami, z wami głowę położył. Zginąć to nic, to lepiej jak żyć w niewoli, ale tu bratci po nas zostaliby się oni — wskazał na kobiety, na starców i dzieci. — A wiecież wy potem co z niemi?

Chwilę trwało milczenie, potem mówił dalej:

— Iwane, twój stary ojciec zginął by pod batami, twoi mali bracia wzięci od matki, wyrastaliby w Moskawszczyni na Moskali... w siole nad naszemi matkami, siostrami, wróg by się naśmiewał, a Ukraina sumowała by gorzej jak teraz sumuje.

Umilkł — parobcy głowy pospuszczali. Tymon patrzał na nich bystro, najdłużej zatrzymał wzrok na Iwanku. Mołojec podniósł głowę i spojrzał mu śmiało w oczy.

— Długoż nam jeszcze tak siedzieć, długoż patrzeć na wroga w naszej chacie?

Tymon położył mu rękę na ramieniu i obrócił się do wszystkich.

— Słuchajcie! iluż was tu jest gotowych na bunt, na sławę, taj na śmierć gotowych?

Gromada milczała, on chwilę czekał, aż odpowiedział sam sobie:

— Toma, to jeden, Maksym dwóch, Harasym, Damian, Wawron, to pięciu; ty Daniłku, ty Wasylu, to siedmiu; Hryćko ósmy, Jachwim, Naum, Trochym jedenasty... ty Iwanku dwunasty, trzynasty ja...

Stary Karp zbliżył się szybko.

— Ja z wami.

Wszyscy obrócili oczy na starego. On stał, starą pochyloną postać wyprostował, głową przeniósł wszystkich. Suche jego lice płonęło zapałem, z pod białej brwi zapadłe

oko tliło dziko. Tymon zdumiał się — to już nie był stary, zgarbiony nad sochą, bawiący się z pszczołami, hołubiący dzieci po drodze dziad — zdawało się, że to zmartwychwstały Zaporożec!

— Didu! — zawołał Tymon gorąco. Naraz urwał, wyprostował się po wojskowemu i dodał:

— Atamane!

Między starszymi poruszyło się.

— My wszyscy z wami!

Tymon okiem ich przeliczył.

— Dobrze, trzydziestu dziewięciu. I cóż ztąd?

— Czterdziesta prawda nasza! to dosyć! — ozwał się Iwan. Tymon mu odparł łagodnie:

— To mało!... Prawda — ty myślisz bracie, że ona zdała się teraz na świecie, kudy świat kłamstwem żyje? Prawda nasza, niewielkaż od wieka, nie święta? a patrz co my, co z nami? Teraz na świecie nie prawda, ale siła. Na siłę siły trzeba, a nasza gdzie?!

— W mogiłach — rzekł ktoś z boku. (D. n.)

O POMOCY NAUKOWEJ DLA KOBIET

przez panią W. W.

„Wiele się u nas mówi i pisze o ukształceniu kobiety. Jak każda społeczność, która w mozolnej pracy, około utrzymania swego odrębnego bytu, liczyć się musi z otaczającemi warunkami, obfitujemy w projekta nie wychodzące po większej części ze sfery projektów. Jak każde społeczeństwo, którego praca u podstaw, dla tego właśnie, że jest najdonioślejszą, ulega ograniczeniom, pochopni jesteśmy do obmyślania szczytu dla budowli, nie mającej jeszcze fundamentów.

„Na takich skłonnościach najwięcej cierpi wykształcenie kobiety. I tu również zaczynamy chętnie od dachu: rozprawiamy o wyższych kursach i specjalnościach, o równych z mężczyznami prawach do nauki uniwersyteckiej, o jednakowej naturze męzkiej i niewieściej inteligencji — mniej troszcząc się o to: czy kobieta posiada możność dorośnięcia głową do tego dachu, czy do wyższych kursów przysposobiły ją kursa niższe; czy ogólnie nauczyła się czego, zanim jej specjalność damy w rękę; czy, wchodząc do uniwersytetu, wychodzi ze szkoły; czy jej wreszcie dostarczono sposobności do wykazania równej z męzką inteligencji?

„I zdziwiłbyś się, czcigodny panie*), gdybyś po kilkunastu latach pobytu na obczyźnie, znalazł się odrazu u nas, wśród dzisiejszych naszych kobiet.

„Spostrzegłbyś przed sobą dziwne istoty, które przestały być tem, czem były, a nie wiedzą jeszcze czem będą; które nie chcą uchodzić po dawnemu za dopełnienie mężczyzny — a same przez się nic jeszcze znaczyć nie mogą; które rwą się do samodzielności, dopominają się o indywidualność — a nie wiedzą, coby z tem wszystkiem dobrego zrobić można; które straciły naiwność, wdzięk — a nie zyskały rozumu, powagi: które nie chcą marzyć — a nie umieją myśleć; które pozbyć się nie mogą swej uczuciowej natury — a wstydzą się jej ukradkiem; które nie mają odwagi pozostać kobietą — a lękają się, żeby się nie stać mężczyzną; które słowem, są czemś niezdecydowanem, połowicznem, przejściowem.

Jeżeli tak wygląda kobieta, urobiona powierzchownem wykształceniem i nowemi prądami społecznemi na jakąś zagadkę przyszłości, jakże przedstawiać się muszą te nieszczęsne, wydziedziczone istoty, którym los taki nawet grunt z pod stóp usuwa, które, wyrosłszy jak blade, nikłe kwiatki między chwastem ciemnoty, zabobonu, przesądu, napróżno czekają na troskliwą rękę ogrodnika, wyrywają się do innej ziemi, oglądają się za słońcem nauki i albo zagłuszone umierają, albo, natrafiwszy przypadkiem na jakieś zatrute soki, z nich czerpią życie niezdrowe i szkodliwe?!

„Spotkałeś zapewne takie biedne stworzenia: wyróżniają się one, niewiadomo dla czego, może na mocy jakiegoś tajemniczego atawizmu, z pośród swego otoczenia. Oczy ich, w dal zapatrzone, gonią ciągle za rozwiązaniem jakiejś nierozwiązalnej zagadki; myśl mozoli się najniewdzięczniejszym z mozołów — bo szuka sobie przedmiotu do rozmyślań; serce dręczy się niepokojem, który w pięknościach natury odgaduje piękno sztuki; tęskni za doskonałością, której dookoła nikt nie potrzebuje, ani rozumie.

„Podajmy tej zgłodniałej myśli strawę prawdy, wskażmy temu sercowemu pragnieniu żywe źródło dobra i piękna, a stworzymy kobietę; zostawmy te głucho nurtujące siły samopas: a zużytkuje je albo błąkająca się po naukowych bezdrożach utopia emancypacyjna, albo przybierające różne formy zepsucie.

„O istnieniu takiego dylemmatu społecznego wiemy wszyscy; ale cóż przedsiębierzemy dla rozwiązania go? jakie pomoce daje społeczeństwo kobiecie, której umysł łaknie, już nie przysmaków wiedzy, ale powszedniego chleba nauki szkolnej?

„Pod tym względem, jak pod wszystkiemi innemi, mężczyzna korzysta na każdym kroku z rozlicznych przywilejów; dość w stosownej porze roku rzucić okiem na pierwszy lepszy dziennik, ażeby się o tem przekonać.

„Od chwili, kiedy chłopiec wstąpić ma w progi gimnazjalne, do czasu, gdy opuszcza uniwersyteckie, społeczeństwo nie odstępuje go nigdzie, daje mu wszędzie pomoc i poparcie. Uwolnienie od wpisu szkolnego, stypendja, fundusze zbierane drogą ofiarności publicznej na książki, odzież i opłatę za naukę, ułatwiają mu kilkunastoletnią pracę, wśród której pacholę wyrasta na młodzieńca, mundur szkolny zmienia na uniwersytecki, — dopóki młodzieniec nie wykształci się na człowieka uzbrojonego od stóp do głów na zapasy życiowe. Bale, koncerta, odczyty, dary żyjących, legata zmarłych; wszystkie ulgi, cała troskliwość społeczeństwa skupia się około mężczyzny.

„A kobieta?

„W tem pytaniu nie odzywa się ani nuta zazdrości, ani odgłos teoryj równouprawnienia. Społeczność wie, co robi, podtrzymując wszelkiemi siłami energię mężczyzny, który jest inicjatywą w życiu ludzkości: ale czy wie co

---

*) List ten pisany był do J. I. Kraszewskiego.

robi, oddając kobietę na pastwę tej bezmyślnej bierności, na dnie której drzemią niespotrzebowane, niepokierowane i skłócone z sobą niższe instynkta i wyższe do ideału aspiracje?

„W twardej walce o byt, mężczyzna prowadzi bój zaczepny: więc nic mu swobody ruchów krępować nie może, a wszystko szeroki rozmach ułatwiać powinno. Ale kobieta jest załogą, pozostającą w domu i broniącą ognisk rodzinnych: więc nie trzeba, żeby ją pierwszy lepszy podstęp obałamucał, pierwszy lepszy fortel znalazł nieprzygotowaną; nadewszystko nie trzeba, ażeby ją zmógł pierwszy głód fizyczny lub duchowy. Trzeba jej dać siłę odporną, odpowiedną sile zaczepnej mężczyzny, aby tym sposobem, mozoły walki, z samej istoty rzeczy, rozdzieliły się zgodnie z właściwościami natury męzkiej i niewieściej: trzeba więc zdrowo odżywiać jej organizm moralny, pamiętając o tem, że rozwój kobiety znajduje się dziś wszędzie, a u nas szczególniej, w fazie krytycznego przesilenia, którego objawami są, zupełnie tak samo, jak w chwilach fizycznego przekształcenia się kobiety, dziwaczne zachcenia i nienormalne apetyty.

„Trzeba! — Wszystko to prawda; ale kto kiedykolwiek poważnie nad tą potrzebą się zastanowił? Kto kiedy przypomniał społeczeństwu, że pomoce, ulgi świadczone dla „uczącej się młodzieży“ powinny przysługiwać obu płciom; że biedne dziewczę, nie mające za co uczyć się, jest równie nieszczęśliwą istotą, jak chłopiec pozbawiony środków kształcenia się; — a może nieszczęśliwszą, bo dziewczyna jeszcze mniej radzić sobie może? Kto z nas czytał gdzie o balu, o datku na sukienkę, na książkę, na opłatę wpisu; kto słowem, upomniał się kiedy o równouprawienie kobiety wobec niedoli.

„A jednak upomnieć się ktoś musi, odezwać się powinien głos tak silny, aby doszedł wszędzie i znalazł drogę do każdego umysłu, do każdego serca.

„Bo oto mnoży się zastęp tych egzystencyj złamanych w dzieciństwie, którym otworzono oczy na to tylko, aby się lepiej przypatrzyły temu, czego mieć nie będą; którym na pierwszej karcie zamknięto księgę nauki dlatego, że nie mają czem zapłacić za prawo czytania w niej; które przeszedłszy już przez próg szkoły, cofnąć się muszą do przedsionka i nieszczęśliwsze od żebraczek w kruchcie kościelnej, napróżno czekają na zmiłowanie, na jałmużnę!

„Nie doczekawszy się wracają do rodziny, która, nie mogąc zająć głowy dziecka, zajmuje ręce, ażeby żywiło się samo, kiedy uczyć się samo nie może. Więc ręce poruszają igłę, nogi poruszają maszynę, a głowa porusza całe światy myśli mglistych, wątpliwości nierozwikłanych, zapytań bez odpowiedzi.

„Wtedy zjawia się zwykle mężczyzna, który podejmuje się zawsze znaleść na to wszystko odpowiedź. Społeczeństwo uzbroiło go do tego i przygotowało, ułatwiając mu wykształcenie, które on po swojemu ułatwia kobiecie. Olśnić ją nie trudno, bo nic nie wie; zaciekawić jeszcze snadniej, bo chce wszystko wiedzieć: i wkrótce też dowiaduje się tyle z drzewa wiadomości złego i dobrego, ile potrzeba, żeby ją oskarzono o to, iż pierwsza jabłko Adamowi podała. Oskarzenia ścigają ją w rodzinie, która za jedyną broń igłę jej w rękę dała; w społeczeństwie, które uzbroiwszy zwodziciela, potem jeszcze bezkarność mu zapewnia; aż zgnębiona, sponiewierana, wypowiada wojnę socjalną rodzinie, społeczeństwu, lub jeśli ma spokojniejszą naturę, poddaje się z rezygnacją, jedynej opiece społeczeństwa — opiece sanitarnej, albo wreszcie, jeśli w niej cudem ocalały wrodzone piękna i dobra zadatki, dantejskie piekło za życia przebywa.

„Na tyle niedoli ludzkich znaleziono już, jeżeli nie radykalne lekarstwo, to przynajmniej ulgę i jakieś ukojenie: byłażby ta jedna nie do wyleczenia?

„Tak nie jest. Musi się znaleźć jakiś balsam i na tę ciężką ranę społeczną. Jaki? nie moja rzecz dochodzić.

„Jestem kobietą i choć złe obejmuję rozsądkiem, to leki wyłącznie może z serca czerpaćbym chciała. Nie wiem czy sprawy, która tak gorąco leży mi na sercu, nie postanowiłam zbyt jednostronnie na gruncie filantropijnym. Cokolwiek bądź, dalsze jej losy nie do mnie należą“.

RÓŻNOŚCI ZE ŚWIATA.

Arcyksiężniczka Krystyna. Nierzadko zdarza nam się wydać okrzyk na widok kobiety: ona mogłaby nosić koronę! Takie wrażenie sprawia postać arcyksiężniczki austrjackiej, Marji Krystyny, obecnej narzeczonej króla Alfonsa hiszpańskiego.

Postać wysoka, imponująca, glowa pięknie uformowana o rysach szlachetnych, postawa i gest nakazujące hołd i uległość — oto przymioty zazwyczaj nieodłączne od pojęcia królowej.

Nie można twierdzić, aby księżniczka ich nie posiadała, lecz mimo tego nie tak wspaniała piękność, jak raczej wdzięk i urok jednają jej wszystkich sympatje.

Księżniczka jest smukłą, ma ujmującą, świeżą twarzyczkę, w wyrazie ust przypominającą tylko znany typ Habsburgów; figlarne, błękitne oczy, powabne dołki w policzkach i bujne, ciemno-blond włosy, tworzą uroczą całość.

Ale dopiero, gdy księżniczka pocznie mówić lub smiać się, wytryska z niej promień najwyższego wdzięku; twarz jej zmienia się wówczas co chwila, odpowiednio zazwyczaj żywemu jej temperamentowi; rączki małe, prawdziwie dziecięce, gracja w ruchach i srebrny dźwięk głosu, dopełniają ślicznego obrazu.

Tak świeżo i wesoło, jak te oczy 21 letniej dziwicy, witają każdą radość życia, tak przejrzyście i naturalnie, jak wymowa księżniczki, płynie całe życie jej duszy, takiemi są jej myśli i czyny.

Pod opieką czułej, a przytem i w miarę surowej matki, którą nad wyraz kocha, otrzymała księżniczka nader staranne wychowanie. Rozmawia czterema językami jak ojczystym, rysuje i maluje z zamiłowaniem, najwięcej kwiaty, i jest nadzwyczaj utalentowaną dyletantką na fortepianie, na którym gra z wielkim zasobem życia i ciepła.

Księżniczka wyuczyła się od swoich braci nawet trochę łaciny. W Gmunden, gdzie rodzina jej zwykle przepędza lato, zajmowała się Marja Krystyna także drzeworytnictwem.

Od lat wielu miała zwyczaj przygotowywania własnemi rękami na święto Bożego Narodzenia wielkiej liczby ubiorków dla ubogich dziatek.

Gdy przed dwoma laty, w ostatnim roku życia arcyks. Franciszka Karola, księżniczka interesowała się żywo zbieraniem marek pocztowych dla młodej kobiety w Monachjum, która za dostarczony w pewnym oznaczonym czasie miljon marek, miała otrzymać od pewnego anglika fortepian Boesendorfera, dostarczał wujaszek całemi skrzyniami pożądanego artykułu,

byle zadowolnić pragnienia swej faworytki; na wygranie owego zakładu wyłożono wówczas prawdopodobnie więcej pieniędzy, niż warty był cały Boesendorfer.

Obfite łzy wylała młodziuchna, 17 letnia podówczas Marja Krystyna, gdy przyniesiono jej „radośną“ nowinę, iż cesarz naznaczył ją opatką instytutu dam duchownych w Pradze, i potrzeba było kilkugodzinnych perswazyj, ażeby ją przekonać, że to nie znaczy — wstąpić do klasztoru, ale że idzie tylko o miejsce honorowe, połączone ze znaczną dotacją, i że swój mniemany welon mniszy, będzie mogła zamienić każdej chwili na welon ślubny.

Pomimo tego długo arcyksiężniczka nie umiała myśleć o swojem opactwie bez niepokoju i gdy przeminęły huczne uroczystości wyświęcenia opatki, z radośnym sercem powróciła co prędzej do Seelovitz, aby tam karmić swoje sarny i używać błogiej rozkoszy „świeckiego życia“.

Wesoły humor księżniczki objawił się charakterystycznie w Ischlu, gdy przed dwoma laty ukończono linję kolejową Gmunden - Ischl.

Dyrekcja kolei oddała do rozporządzenia dostojnego towarzystwa, złożonego z rodziny księcia Wirtemberskiego i arcyksiężny Elżbiety, wraz z „Krysią“ pociąg kolejowy dla zwiedzenia nowego toru.

Urządzono więc przejażdżkę do Ischl i Aussee wziąwszy spory zapas posiłku na drogę; dzień był prześliczny.

Na pół godziny przed odjazdem zapowiedziano telegrafem przybycie „wujaszka“ Franciszka Karola, który zaprosił się na obiad do arcyksiężny Elżbiety w Gmunden.

Powstała trudność, bo jakże jechać bez matki?

Po długich jednak naradach zdecydowano, że arcyksiężniczka w towarzystwie damy pałacowej i wybranego „kawalera dworu“ może przyłączyć się do towarzystwa.

Przybywszy do Ischlu, natychmiast pobiegła arcyksiężniczka do biura telegraficznego i wysłała dla uspokojenia matki wymowną depeszę, którą dla czytelników, znających język niemiecki: podajemy dosłownie:

Wir sind angelangt in Ischl,
Frisch und gesund wie die Fischel,
Haben uns vermessen,
Alles aufzuessen,
Wir liessen euch leben hoch,
Dich und den Erzherzog!

W tłómaczeniu, serdeczna prostota i oryginalność tych częstochowskich nieco wierszyków, nie da się odtworzyć; dodamy więc tylko, że czuła o spokój matki księżniczka donosi iż przybyli „zdrowo i świeżo do Ischlu i nie zawahali się skonsumować wszystkie zabrane zapasy“.

Telegram, którego autograf dotąd przechowywanym jest w miejscowym urzędzie telegraficznym, wywołał w Gmunden wielką wesołość, a zwłaszcza ucieszył się nim niezmiernie arcyksiąże.

Księżniczka pisze jednak doprawdy wiersze i to wcale zgrabne i nie pozbawione poetycznego polotu.

Najżywsze zajęcie sztuką i naukami, gorące współczucie dla każdej niedoli, zamiłowanie największej prostoty w ubiorach i etykiecie, wzniesienie się ponad przesądy, urodzenia i stanowiska — stanowią najwydatniejsze rysy szlachetnej księżniczki.

Czuje ona głęboką pogardę dla wszelkiej obłudy i intrygi; płacze gorzkiemi łzami, gdy czuje się okłamana lub oszukana.

Niedawno rzekła: „za żadną cenę nie chciałabym być cesarzową albo królową; poczucie wielkiej odpowiedzialności odebrałoby mi całą swobodę życia!“

A jednak — los ją przeznaczył na królowę.

Arcydzieła mechaniki. Po Stanach Zjednoczonych podróżuje obecnie wspaniały zegar, który w samej rzeczy można nazwać „arcydziełem mechaniki.“

Zbudowany przez jednego z mieszkańców m. Kolumbji (w stanie Ohio) kosztował ośm lat pracy.

Zegar ten przedstawia... historję Stanów Zjednoczonych, a mianowicie początek i rozwój ich niezależności.

Postument zegara ma 10 stóp wysokości; 5 stóp szerokości i jest oparty na dwóch pazurach orlich, trzymających 13 strzał, które przedstawiają trzynaście pierwszych stanów Rzeczypospolitej. Po obydwu stronach postumentu znajdują się wyobrażenia dwóch głównych momentów historji Ameryki: wojny o niezależność i wojny o niewolników.

Tutaj widać gmach „Independence Hall“ z dzwonem na wieży... W dzwon uderza stojący tuż starzec. Bogini swobody uderza całe godziny.

W środku złotej arfy znajduje się model znakomitego zegaru wieży strasburskiej, wysokości 1 stopy i $^1/_3$ stopy szerokości. Oddzielne figury apostołów zrobione tu podług obrazu Leonarda da Vinci.

Oryginalne jest oznaczenie kwadransów.

Z końcem pierwszego kwadransa ukazuje się na scenie lokomotywa, jako emblemat rozwoju przemysłu amerykańskiego.

Po przejściu drugiego kwadransa uderza dzwon na wieży „Independence Hall“ i jednocześnie ukazuje się postać Waszyngtona...

Z trzecim kwadransem apostołowie łączą się przed Chrystusem i św. Piotr wyrzeka się go przy pianiu koguta.

Szkielet z szarfą, na której napis „Czas ubiega“, przechodzi szybko i w otwartych drzwiach ukazuje się dziecię z grzechotką.

Następuje kwadrans czwarty.

Zegar uderza...

Jestto cała muzyka.

W północ i w południe ukazuje się obraz oswobodzenia niewolników. Linkoln z manifestem emancypacji w ręku, przystępuje do niewolnika przywiązanego do słupa licytacyjnego. Z nieszczęśliwego spadają więzy, a ręce w dziękczynnej modlitwie wznoszą się ku niebu.

Misterny ten zegar będzie podobno pokazywany i w Europie.

Wszystko z papieru! W Ameryce doprowadzono do najwyższej doskonałości fabrykację najrozmaitszych rzeczy z masy papierowej.

Robią się tam z papieru od dawna kołnierzyki, mankiety i materje na odzież.

W nowszym czasie fabrykacja beczek z papieru rozwinęła się na wysoką skalę, a wywóz nieprzemakalnych talerzy z papieru dosięga miljonów.

Obecnie kopuła obserwatorjum astronomicznego w Troy, w Ameryce, ma być zbudowaną także wyłącznie z papieru.

Kopuła ta ważyć będzie 1750 kilogramów.

Z powodu zbliżającego się nowego kwartału upraszamy Szanownych Czytelników o odnowienie przedpłaty. **Kwartalna prenumerata 1 złr. 50 ct.** a. w.

W przyszłym IV. kwartale rozpoczniemy druk dwóch nowych powieści równie pięknych jak zajmujących.

Prosimy także przyjaciół piśmiennictwa polskiego o poparcie dla *Strzechy Ojczystej*, która dla swych zalet i taniości powinna by się znajdować we wszystkich domach polskich.

W drukarni narodowej W. Manieckiego przy ulicy Grodzickich l. 4.